
Czułe struny
Cały świat śpiewa jego piosenki.
Ona woli zmienić stację.
IVY FAIRBANKS
ALBATROS

Tytuł oryginału:
HEART STRINGS

Copyright © Melissa Elaine Loera 2025
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2026
Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2026
All rights reserved

Redakcja: Anna Walenko

Korekta: Dorota Jakubowska, Marek A. Ostrowski

Ilustracja na okładce: Mansi Vinay

Opracowanie graficzne wersji polskiej i ilustracje we wnętrzu: Aneta Skwara

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



WYDAWNICTWO
ALBATROS

PROLOG

Lo

Marzec

– Jeśli chcesz mnie wywieźć nie wiadomo gdzie i zabić, to pospiesz się, proszę. Mam zajęcia o szóstej! – wrzeszczę, żeby usłyszała mnie przez warkot starego skutera.

Mocno obejmuję w pasie kuzynkę, która przechyla Lambrettę na ostrym zakręcie. Drobna kobieta pędzi na złamanie karku.

– Już prawie jesteśmy – odpowiada ze śmiechem.

Jakieś dwadzieścia minut temu skończyły się urocze, obwieszone chorągiewkami brukowane uliczki centrum Galway, a my prujemy teraz wśród łagodnych wzgórz i jaskrawych kęp głogów, zapuszczając się w wiejskie tereny Irlandii. Kiedy Lark zaproponowała, żebyśmy wskoczyły na jej wiekowy skuter i obejrzały miejsce jej ślubu, nie spodziewałam się, że to będzie tak daleko. Miałam na tę wyprawę zarezerwowane tylko półtorej godziny. Wpisałam ją sobie do kalendarza między zajęciami w prosektorium a ćwiczeniami w grupie.

– Poza tym – dodaje z lekkim z teksańskim akcentem, co przypomina mi o rodzinnych stronach – gdybym chciała cię załatwić, Callum potrafiłby łatwiej pozbyć się twojego ciała niż ja.

Nie potrafię się przyzwyczaić, że moja tryskająca energią jasnowłosa kuzynka jest zaręczona z właścicielem domu pogrzebowego. To świetny facet, choć może nieco zamknięty w sobie. Nikt by nie pomyślał, że ktoś taki może tworzyć parę z dziewczyną, która wyśpiewuje na całe gardło piosenki z musicalu *Piękna i bestia*. Najlepszy dowód, że przeciwieństwa czasem się przyciągają.

Droga przez ostatnie kilka kilometrów prowadzi między szpalerami brzóz, aż nagle wyskakujemy na otwartą przestrzeń. Słońce grzeje moją smagłą skórę, gdy skręcamy i przejeżdżamy pod łukiem z napisem ZAMEK TEACHAN.

– Oszalejesz, jak zobaczysz to miejsce. – Lark rzuca na mnie okiem zza osłony twarzy przy kasku.

Przed nami wyrasta masywny, wysoki zamek. Między wieżyczkami i granitowymi balustradami widać ogromne rzeźbione drewniane drzwi. Kręty podjazd otaczają latarnie z kutego żelaza. W popołudniowym świetle połyskuje kilkadziesiąt okien. Ile tu może być pokoi?

Lark wyłącza silnik i różowym kowbojskim botkiem opuszcza podpórkę. Zdejmuję kask i potrząsam moimi ciemnymi, ostrzyżonymi na pazia włosami. Zadzierając głowy, patrzymy na zarys budowli malującej się na tle usianego małymi chmurami nieba. Przyznaję, robi wrażenie.

– No… widzę, że wzięłaś sobie do serca te disneyowskie bajki o księżniczkach, co? – Uśmiecham się z przekąsem.

– Może trochę przesadziłam.

Kowbojki Lark postukują na brukowanym podjeździe. W podskokach okrąża strzyżony żywopłot przed wejściem. Wydaje się, że zza podwójnych wrót zaraz wyłonią się porcelana i meble, po czym zaczną z nią tańczyć i śpiewać o cudzie

miłości, jak w jakimś musicalu. Lark, choć zawsze radosna, od czasu zaręczyn jest wyraźnie na haju.

– Popatrz, jak ładnie! Wyobraź sobie tutaj ślub jesienią.

– Och, jest pięknie. Nie spodziewałam się czegoś takiego. Myślałam, że zawieziesz mnie do jakiegoś wiejskiego zajazdu. Bardziej w stylu Pinterest niż *Gry o tron*. Ale to miejsce do ciebie pasuje.

– Zaskakujące, za jak umiarkowaną cenę można wynająć zamek na imprezę. Pomyśleliśmy z Callumem, że byłoby fajnie, gdyby goście spoza miasta mogli spędzić tu razem z nami cały weekend.

Drętwieję. Drużba pana młodego mieszka w Londynie, odkąd dwa lata temu zdobył kontrakt płytowy i bezceremonialnie mnie porzucił.

– Aidan też? – pytam, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie.

Dawno już nie wypowiadałam jego imienia. Kiedy musiałam o nim wspomnieć, stosowałam raczej jakieś urocze eufemistyczne określenie z zakresu anatomii.

– To najbliższy przyjaciel Cala – przypomina mi Lark. – Tak naprawdę jedyny.

Od chwili zerwania ani razu nie spotkaliśmy się z Aidanem, ale byłam przygotowana na to, że przyjdzie mi znieść jego obecność przez kilka godzin. Wiadomo, jak to jest. Tańce, toasty, a ja, jako druhna, mam czuwać, by wszystko przebiegało gładko. Poza tym przyjedzie moja mama i wielu członków naszej rodziny. Przez cały wieczór na pewno nie zabraknie mi zajęć. Mogłam nawet mieć nadzieję, że całkiem zapomnę o tym, że jest tam mój były, o ile tylko nie złapie za mikrofon i nie zrobi z siebie widowiska. Ale nie spodziewałam się, że

będę musiała wytrzymać z nim cały weekend w tym samym pięknym zamku.

Lark przestaje podrygiwać i patrzy na mnie przepraszająco. Dam radę. Dla niej. Ślub jest jesienią, mam więc jeszcze pół roku na przygotowanie się, zbudowanie muru wokół swojego serca. To dość, by wykopać fosę i wpuścić do niej krokodyle, mówiąc metaforycznie.

– Cały weekend z moim byłym? Nie ma problemu. – Rozciągam usta w uśmiechu.

Lark się krzywi.

– Lo, wiem, proszę o wiele. Możesz postawić weto, jeśli to dla ciebie zbyt krępujące. Oczywiście rodzina ma pierwszeństwo.

To żaden sekret, że mam żal do swojego byłego, pozornie romantycznego faceta, który bez walki zrezygnował z kobiety, mimo że podobno ją kochał.

Lark i Callum patrzyli, jak rozkwita nasz związek. Spędzaliśmy we czwórkę tyle czasu, że dobrze wiem, ile znaczy Aidan dla introwertycznego narzeczonego Lark. Różnią się pod wieloma względami, ale wspólna miłość do muzyki tradycyjnej scementowała ich niezwykłą przyjaźń. Może Aidan zrujnował na koniec moją wiarę w niego, jednak Lark i Callum zawsze mogli na nim polegać. Nie zamierzam dyktować Callumowi, kogo może czy nie może zapraszać na swoje wesele.

Lark ściąga brwi, obserwując mnie, kiedy myślę o swoim związku – to temat, który zwykle staramy się delikatnie omijać w rozmowach. Martwi się o mnie, ale ze mną wszystko w porządku. Nawet lepiej niż w porządku. Lekarz prowadzący pamiętał moje nazwisko podczas wczorajszego obchodu, a poza tym znalazłam na wyprzedaży idealną sukienkę dla

druhny – obcisłą tam, gdzie trzeba, podkreślającą te krągłości, które u siebie lubię. Lark nie musi się o mnie martwić. Sama doskonale daję sobie radę.

– Możesz zabrać osobę towarzyszącą, jeśli chcesz.

– E tam.

Po Aidanie zdarzyło mi się kilka przygód, ale nie było żadnych związków, nawet luźnych.

– A co z tym facetem z twojej grupy? Tym, który wygląda jak Dev Patel.

– Miałam owulację, kiedy to mówiłam. Hormony mnie ogłupiły. Jest miły, ale wolałabym nie komplikować spraw, sypiając z kimś z grupy. I nie chcę przyprowadzać byle kogo na twoje wesele.

– Rób, jak uważasz – kwituje Lark.

– Zresztą i tak będę zajęta. Chcesz organizować coś dla gości przez ten weekend, prawda? – pytam.

Jeśli dużo będzie się działo, jakoś to przetrzymam.

– Oczywiście. W zamku mają wszystko. Degustacje lokalnej whisky, kursy jogi i nawet sokolnictwa! Fantastyczne, co?

A czy mogłabym wytresować ptaka, żeby wydziobał oczy Aidanowi? Tego oczywiście nie mówię.

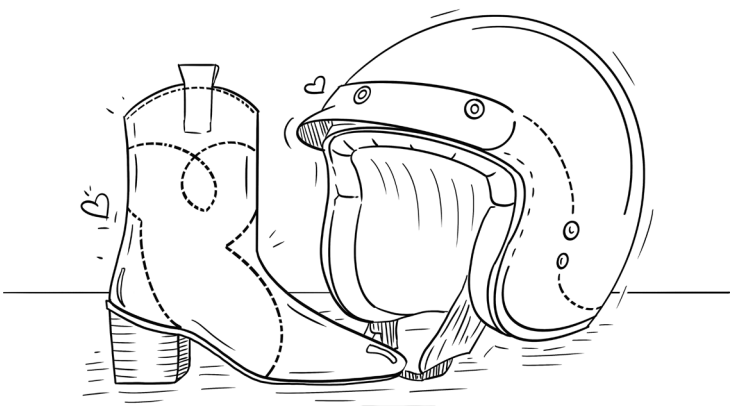
Kocham Lark, ale jesteśmy na innych etapach życia. Choć pewnie zawsze tak było, biorąc pod uwagę sześć lat różnicy wieku. Kiedy byłyśmy młodsze i moja mama usiłowała trzymać mnie pod kloszem, Lark wzięła mnie pod swoje skrzydła. Wysłuchiwała moich nastoletnich utyskiwań, a gdy byłam już trochę zdrowsza, pozwoliła mi uczestniczyć w kilku nieszkodliwych przygodach, żebym nie oszalała. Kiedy nagle, cztery lata temu, straciła męża, starałam się jej zrewanżować najlepiej, jak umiałam. Nie pomagało jej życie w nagle opustoszałym

domu, więc zaproponowałam, żeby sprowadziła się do mojego mieszkania w Austin, poza kampusem. Później sprzedała dom i wyjechała do Irlandii, do Galway, by zacząć nowy rozdział. Niedługo potem w ślad za nią ja też przeniosłam się za granicę. Studiowałam medycynę. Byłam nieoficjalnie druhną na jej pierwszym ślubie, zawartym spontanicznie w urzędzie stanu cywilnego.

Tym razem Lark chce bajki. Bóg świadkiem, że zasługuje na swoje „i żyli długo i szczęśliwie". Nawet jeśli będę musiała iść za nią do ołtarza, mając u boku żabę, którą uznałam za księcia, chcę w tym uczestniczyć.

Biorę głęboki oddech, by zebrać siły, i obejmuję Lark.

– No dobrze. W takim razie weekend z Aidanem. Nie ma sprawy.



ROZDZIAŁ 1

Aidan

Wrzesień

– Słuchacie najnowszego wydania listy przebojów z Londynu. Dziś jest z nami w studiu wyróżniający się irlandzki wokalista i kompozytor Aidan O'Toole. Pewnie znacie go z przeboju lata *Come Here to Me*, który jest na trzecim miejscu irlandzkiej listy przebojów i na dwudziestym brytyjskiej. Witaj w naszym programie, Aidan.

Poprawiam słuchawki i nachylam się do mikrofonu.

– Dzięki za zaproszenie. Od dawna jestem waszym fanem.

– Opowiedz trochę o sobie naszym słuchaczom. Wychowywałeś się w hrabstwie Cork, a potem przygarnęło cię Galway…

– Tak! Na pewno cieszą się z takiego nabytku – wpada mu w słowo współprowadząca, kładąc dłoń na moim ramieniu.

Czerwieni się, gdy posyłam jej uśmiech.

– Teraz mieszkam tutaj, w Londynie. Ale w Galway jest moja rodzina. Jadę tam na miesiąc. Tak naprawdę wyjeżdżam już jutro.

– Jak nam przykro…

Nie ma się co martwić, raczej nie przeniosę się tam na stałe.

– Porozmawiajmy o *Heaven-Bound* – mówi gospodarz programu. – Płycie nominowanej do irlandzkiej nagrody za album roku, RTE.

– I która w pełni na to zasługuje – dodaje współprowadząca. – Tyle tam uczucia.

– Dziękuję. Jeszcze nie do końca to do mnie dociera, ale to wielki zaszczyt.

Poprawiam kołnierzyk designerskiej koszuli na guziki, którą stylistka z wytwórni kazała mi dzisiaj włożyć. Ubierany przez kogoś, czuję się jak papierowa lalka.

– W tym albumie jest tyle nadziei, ekstazy, poczucia straty – ciągnie gospodarz. – Szczerze mówiąc, jak słucham ostatniej piosenki, zawsze ściska mnie w gardle.

– Wiem coś o tym! – wtóruje mu koleżanka. – Kiedy pierwszy raz słuchałam tej piosenki, nie byłam w stanie pomalować oczu, bo nie mogłam pohamować łez, ale nie chciałam wyłączyć płyty. Przypomniało mi to czasy, gdy byłam największą fanką Sufjana Stevensa.

Oboje chichoczą.

– To zbyt łaskawe słowa – mówię. – Być wymienionym obok takiego artysty jak Sufjan…

– Naprawdę. W twojej muzyce tak wyraźnie słychać ból serca – dodaje gospodarz programu. – A teraz cały świat muzyczny chce wiedzieć, kim jest ten Irlandczyk i o kim napisał te piosenki…

– No właśnie, czy zainspirowała je ta sama osoba? Te piosenki wydają się zbyt osobiste, by mówiły jedynie o wymyślonych postaciach. Piszesz tak pięknie o różnych stronach miłości.

– Stale się zakochuję – kłamię. – Zakochiwałem się setki razy. Słowa przychodzą łatwiej, gdy ma się właściwą inspirację.

W przeszłości rzeczywiście szybko się zakochiwałem, ale przyznam, że niezbyt głęboko. Aż do poznania Cielo. Dzięki niej uświadomiłem sobie, że te dawne fascynacje i pożądanie nie miały nic wspólnego z miłością. Dwa lata po naszym zerwaniu nadal łapię się na tym, że wypatruję jej w tłumie. Czasem nawet podświadomie przyglądam się pierwszym rzędom, szukając spojrzenia jej orzechowych oczu, żeby móc śpiewać tylko dla niej.

Nie byłem tak naprawdę zakochany w nikim przed i po Lo.

– Twoje teksty uważane są za wyjątkowo poruszające. Jak to jest słyszeć taką opinię? – Dziennikarka stara się zachować kamienną twarz, ale kiedy tak wpatruje się we mnie, powoli zakłada nogę na nogę.

– To mi pochlebia, oczywiście.

Żeby nie wiem jak mnie podpuszczali, nie jestem literaturoznawcą i nie zamierzam podczas wywiadu analizować seksualnych podtekstów moich piosenek. Muzyka mówi sama za siebie.

– W każdym razie twoja ostatnia muza ma wielkie szczęście.

Bawię się kręconym kablem od słuchawek. To leci teraz na żywo w Wielkiej Brytanii, a oni chcą podjąć temat mojej byłej dziewczyny, celowo naruszając tabu, bo to fascynuje słuchaczy.

– Dzięki, ale chyba niektóre rzeczy facet powinien zachować tylko dla siebie – odpowiadam i puszczam do nich oko.

Według mojego menedżera, Martina, taka powściągliwość doda mi „tajemniczości". Wytwórnia uważa, że powinienem podtrzymywać swój wizerunek trochę nieokrzesanego gościa. Poza tym fanki, nie wiedząc nic o moim dawnym związku, mogą widzieć w moich piosenkach swoje odbicie. Kobietę

uwielbianą przez mężczyznę, ale związek skazany na porażkę. W niektórych piosenkach on o nią walczy. Szaleniec. Kochanek. W ostatnim singlu jest marionetką pociąganą za sznurki, które w końcu rozdzierają go na kawałki. Ale ona zawsze jest boginią. Martin uważa, że każda kobieta chce być tak kochana. Tak mocno, że na samo jej wspomnienie mężczyźnie pęka serce.

I to widzę przez ostatni rok, od kiedy rozpocząłem trasę promującą *Heaven-Bound*. Wieczór po wieczorze, miasto po mieście – otwieram ranę przed publicznością i doprowadzam do zbiorowego katharsis, gdy wspólnie zagłębiamy się na cztery minuty w to uczucie. I zastanawiam się, czy Cielo słucha.



– Chryste, ale stylówka – mówię, kiedy drzwi domu rodziców otwiera Fionn w biało-czerwonym swetrze.

To barwy Cork. Na piersi ma wzorek z piłek do futbolu gaelickiego. Nie chce przejść na barwy drużyny Galway.

– Czemu pukasz? Co za dziwactwo, mama się obrazi.

Choć kupiłem ten dom, nigdy w nim nie mieszkałem. Ładowanie się tu bez pukania wydaje mi się nie na miejscu. Ale oni uważają, że powinienem wchodzić zwyczajnie, tylnym wejściem.

– Co to za obrzydlistwo masz na sobie? – pytam.

– Mama ostatnio eksperymentuje z wzorkami w robótkach.

Jaskrawy, ale porządnie zrobiony sweter to nic w porównaniu z hobby naszej siedemnastoletniej siostry. Jest nim brzuchomówstwo. Kiedy byłem tu ostatnio, dziewięć miesięcy temu, Marie pokazała mi dwie okropne lalki, a ojciec spojrzeniem błagał mnie, żebym się nie wyzłośliwiał. Na widok uśmiechów tych drewnianych potworków dostawałem gęsiej skórki.

I oczywiście Fionn i Marie sprzysięgli się, by zaskakiwać mnie widokiem tych lalek w najmniej oczekiwanych miejscach. Mało się nie zsikałem, kiedy w pierwszy dzień świąt wtoczyłem się zaspany do łazienki i nagle znalazłem się twarzą w twarz z martwym spojrzeniem kukły siedzącej na toalecie. Kolejny dowcip Marie, która ze swoim anielskim uśmiechem zawsze potrafiła zmylić naszych rodziców.

Nowa siedziba mojej rodziny to piętrowy dom, bardzo blisko przybrzeżnego parku. Całkiem inny niż domek w Cork, gdzie dorastałem, z łuszczącym się tynkiem i przeciekającym dachem, nie wspominając już o lichym mieszkaniu komunalnym, w którym gnieździła się moja rodzina po przeprowadzce do Galway, żeby być bliżej lekarza Marie. Po podpisaniu kontraktu z wytwórnią, dwa lata temu, jedną z moich pierwszych inwestycji było przeniesienie rodziców z tamtej zagrzybionej nory. Choć sprzedali nasz stary dom, a tata pracował na dwa etaty, ledwie mogli sobie pozwolić na wynajęcie czegoś w Galway, bo mama musiała zostać w domu i opiekować się Marie. W tamtym czasie odłożyłem na później swoje ambicje muzyczne, by podjąć bardziej stabilną pracę jako radca prawny i pomagać rodzicom. Cieszę się, że teraz mogę zrobić coś więcej dla bliskich.

Mama bez słowa obejmuje mnie i mocno ściska.

Tata, nadal w swoim stroju roboczym z magazynu, gdzie obsługuje wózek widłowy, wstaje ze starego, sfatygowanego fotela, który pamiętam jeszcze z czasów dzieciństwa, i poklepuje mnie po plecach.

– Jak dobrze, że jesteś w domu.

– Racja. Tęskniłem za tobą, tato.

Marie zbiega ze schodów, a mama krzyczy:

– Uważaj, nie tak szybko!

Siostra rzuca się na mnie z zadziwiającą jak na nastolatkę siłą.

– No, no. Ja też się cieszę, że cię widzę. – Mierzwię jej krótkie włosy i cofam się o krok, by popatrzeć, czy się zmieniła, odkąd byłem tu na Boże Narodzenie. Zaczęła nowy rok od ścięcia niemal dwudziestu centymetrów włosów, zadowolona, że wreszcie są dość długie, żeby podarować je fundacji robiącej peruki. – Ten sweter też jest śliczny.

Jaskrawofioletową dzianinę zdobią klauny i słonie. Marie przestały fascynować słonie, kiedy była w trzeciej klasie, i nigdy nie wykazywała specjalnego zainteresowania cyrkiem.

– Nie widziałeś najładniejszego – rzuca.

– Mam dla ciebie niespodziankę – oznajmia mama. – Fionn, będziesz tak dobry i przyniesiesz z mojego pokoju prezent dla Aidana?

Błysk w oczach Marie trochę mnie niepokoi. Po chwili Fionn wraca i podaje mi pudełko. Mama zachęca mnie gestem, żebym otworzył. Sweter w pasy, na których widnieją nuty, harfy i gitary. Najohydniejszy ciuch, jaki w życiu widziałem – poza swetrem Marie, oczywiście.

– Zrobiłam dla każdego z was – oświadcza dumnie mama.

– A co z tatą? – pyta Fionn. – Dlaczego on nie dostał swetra?

– Oj, rzeczywiście, James. Zaraz zajmę się czymś dla ciebie.

Tata kręci głową, patrząc na Fionna. Marie przygryza policzek, żeby się nie roześmiać.

– Patrzcie, co za cudo! Jest śliczny. – Wyjmuję sweter z pudełka.

Jeśli spojrzę na Fionna, nie wytrzyma i parsknie śmiechem, i mamie będzie przykro. Poświęciła mnóstwo czasu na zrobienie każdego z tych swetrów.

– Pomyślałam, że mógłbyś włożyć go na występ. Czegoś tej jakości nie znajdziesz w najelegantszych sklepach Londynu. – Szarpie lekko kardigan Thoma Browne'a, który tydzień temu przysłała mi stylistka. Poza osłupieniem na widok metki z ceną nie wywarł na mnie specjalnego wrażenia. – Nawet się nie potrudzili, żeby zrobić paski na obu rękawach.

Fionn śmieje się, ale udaje, że to atak kaszlu. Tata posyła mu mordercze spojrzenie.

– Dziękuję, mamo. – Zdejmuję kardigan i wciągam przez głowę sweter. Pasuje doskonale, wykonanie jest bez zarzutu, ale nigdy jeszcze nie miałem na sobie nic równie paskudnego. – Piękny.

Mama zagania nas, żebyśmy stanęli przed kominkiem, i unosi telefon.

– Chcę mieć zdjęcie was wszystkich w waszych swetrach!



ROZDZIAŁ 2

Lo

Basen przelatuje koło mojej głowy, uderza w ścianę, po czym z brzękiem upada na podłogę.

– A żeby cię ryba zajebała! – wrzeszczy po hiszpańsku wiekowa pacjentka z łóżka szpitalnego. No, takiego wyzwiska jeszcze nie słyszałam. W jej akcencie, zamiast irlandzkiego zaśpiewu, typowego dla większości tutejszych pracowników i pacjentów, wyczuwam akcent kastylijski. – Mówiłam, że nie chcę cię więcej widzieć.

Pielęgniarka wyciąga mnie na korytarz.

– Mam jeszcze czworo pacjentów, którymi muszę się zająć, a uspokojenie jej zajmie wieczność.

– Posprzątam – mówię. Pracownikom środowiskowym nie wolno sprzątać niebezpiecznych odpadów w szpitalu, gdzie mamy praktyki. Niestety, oznacza to, że najgorsze spada na barki i tak już przeciążonych pielęgniarek albo studentów, takich jak ja. – Naprawdę. Ogarnę to.

– Twoja decyzja.

Paskudny upadek wyjaśnia, dlaczego pani Serrano przebywa na oddziale ratunkowym. Demencja zaś tłumaczy gwałtowną reakcję na pielęgniarkę, która przyszła sprawdzić jej stan. Oddychając przez usta, z przygotowanymi chłonnymi podkładami i środkiem dezynfekującym, wchodzę z powrotem do pokoju. Medycyna nie jest dla słabeuszy. Powtarzano mi to, odkąd jako siedmiolatka oznajmiłam, że zostanę lekarką.

– Dzień dobry, pani Serrano. Zmierzę pani ciśnienie – mówię do niej po hiszpańsku.

Ludzie dwujęzyczni z problemami świadomości często wracają do swojego pierwszego języka.

Kobieta przygląda mi się zamglonymi, mętnymi oczami.

– Skąd jesteś?

– Ze Stanów, ale mój tata pochodzi z Oaxaca w Meksyku.

Choć to inny dialekt, znajomy język zdaje się ją uspokajać, tak jak miałam nadzieję. Podaje mi rękę, a ja szybko, póki staruszka jest w dobrym humorze, wsuwam mankiet aparatu do mierzenia ciśnienia.

– Myśli, że może sobie ot tak tu wejść? – Nawiązuje do pielęgniarki, którą wzięła za swoją siostrę. – Prędzej zgniję, niż przyjmę jej pomoc.

Sprzeciwianie się takim pacjentom tylko ich jeszcze bardziej denerwuje, więc ze zrozumieniem kiwam głową.

– I nie lubię nikomu sprawiać kłopotu. Sama daję sobie radę – dodaje, jakby trochę oprzytomniała.

Patrząc na tę kobietę, chwilami mam wrażenie, że widzę przyszłą wersję siebie samej – to jej żarliwe przywiązanie do niezależności, barwne używanie wyzwisk, pielęgnowanie urazy. Może właśnie dlatego nie wyszłam z tego pokoju zaraz po tym,

jak posprzątałam. Wojowniczy charakter to nic rzadkiego i muszę jeszcze odwiedzić z lekarką prowadzącą mnóstwo innych pacjentów, ale w wybuchu złości tej kobiety było coś, co kazało mi z nią zostać dłużej.

– Wiem, to frustrujące znaleźć się tutaj – mówię z łagodnym uśmiechem. – Robimy, co w naszej mocy, żeby mogła pani jak najprędzej wrócić do domu.

– Całe życie mieszkałam sama. Byłam niezależna – gdera. – Teraz czuję się taka bezradna.

Rozumiem ten niepokój, kiedy się utknie na szpitalnym łóżku. Nigdy więcej nie chciałabym już tego doświadczyć.

– Wszyscy musimy od czasu do czasu zdać się na pomoc innych.

Jej gniewna mina nieco łagodnieje. Ciut, ciut.



– Słyszałem o twoim kodzie brązowym. – Oisín przeczesuje palcami swoją uroczą puszystą czuprynę.

W jasnej szpitalnej kafeterii panuje ruch, jak zwykle w porze lunchu. W kolejce do bufetu stoją lekarze, bliscy pacjentów i ci pacjenci, którzy czują się na siłach, żeby wstać z łóżek.

Kod brązowy oznacza katastrofę. Gdyby pani Serrano miała lepszego cela i trafiła mnie tym basenem, rzeczywiście mogłoby się skończyć tragicznie.

Oisín nabija na widelec grillowaną cukinię.

– Pielęgniarki mówiły, że pacjentka jest dużo spokojniejsza po tym, jak porozmawiałaś z nią po hiszpańsku.

– Czytałam, że mówienie do pacjentów z demencją w ich rodzimym języku pomaga im się uspokoić.

– No, teraz domaga się tylko ciebie. Gratulacje, wreszcie znalazłaś przyjaciółkę.

– Zaraz, zaraz, mam przyjaciół. A ty się nie liczysz?

Oisín wymachuje widelcem pomiędzy nami.

– Myślałem, że chodzi o to, by trzymać wroga blisko i mieć go na oku.

– Dupek.

Pstrykam w niego fioletowym Skittlesem. Cukierek odbija się od białego fartucha i ląduje w stercie drobniutkiego jak ryż makaronu orzo. Fioletowe Skittlesy smakują tu inaczej. Europejskie standardy wymuszają pewnie lepszą produkcję niż w Ameryce. Ale to bez znaczenia. Dla mnie i tak są raczej wstrętne, nawet jeśli Oisín upiera się, że wszystkie smakują jak sam cukier.

– To, że z nikim na zajęciach nie wymieniłam się bransoletkami przyjaźni, nie znaczy, że traktuję wszystkich jak wrogów. Po prostu… rywalizuję.

Jako niebiała kobieta w środowisku zdominowanym przez mężczyzn muszę bez przerwy udowadniać, że się nadaję, i zwalczać w sobie syndrom uzurpatorki. A wszystko to z miłym uśmiechem na twarzy. Oisín i ja przez ostatnie trzy lata idziemy łeb w łeb. On od czasu do czasu lubi popajacować, ale to mnie powiedziano, żebym pracowała nad swoim podejściem do pacjenta. *Pilna* – napisano w ocenie z oddziału ratunkowego, choć było to tak nabazgrane, że „ln" można by wziąć za „zd".

Telefon mi wibruje. Przyszła wiadomość.

Unoszę brew, popatrując na Oisína.

– Widzisz? Ludzie mnie lubią.

Wyciągam telefon. To esemes od mamy:

Musisz umówić się na badania.

Jęczę.

– No dobra. Niektórzy aż za bardzo.

– Jakiś natręt z Tindera? – pyta Oisín.

– Moja mama.

– O rety.

On z rodzicami też nie ma lekko. Wyjmuje telefon i między kolejnymi kęsami scrolluje filmiki, gdy ja zastanawiam się, co mam odpisać.

Choć moja mama jest drobną białą kobietą, w moich kontaktach oznaczyłam ją obrazkiem z Godzillą. Nie ma o tym pojęcia. Zanim zdążę ją powiadomić, że dzwoniłam rano do przychodni onkologicznej, przysyła mi następnego esemesa.

Dzwoniłam do onkologa, żeby załatwić ci termin, ale mi nie pozwolili.

Mam dwadzieścia pięć lat, zrobiłam dyplom z biologii na Uniwersytecie Teksańskim w Austin, studiuję medycynę na drugim końcu świata, a ona nadal traktuje mnie jak dziecko. Wrzucam kilka cukierków do ust, koncentrując się na słodyczy, zamiast od razu ze złością odpisywać mamie. Nigdy nie przestrzegała amerykańskich praw ochrony danych i prywatności pacjentów, więc nic dziwnego, że chce przejąć kontrolę nad tym, co robię w Irlandii. Ale jest to żenujące.

Nie dzwoń do nich! Jestem umówiona na przyszły tydzień – odpisuję. Badania zaplanowałam tak, żebym mogła osobiście zapewnić ją, że wszystko w porządku, kiedy w przyszłym tygodniu przyjedzie na ślub Lark.

Nie ma tego w kalendarzu rodzinnym.

Kolejny cukierek chrupie mi między zębami. Zapisałam wizytę w swoim kalendarzu, nie w tym wspólnym. Otwieram aplikację i oznaczam datę w naszym dwuosobowym kalendarzu rodzinnym, przy którym mama tak się upiera. Głównie są tam wpisane terminy moich praktyk szpitalnych i zajęć w grupie, a tu i ówdzie jej wizyt u fryzjera albo wymiany oleju. W każdy poniedziałek jest też zarezerwowany czas na rozmowę wideo, podczas której zdajemy sobie relacje z całego tygodnia. Gdybym raz się nie odezwała, mama pewnie wskoczyłaby zaraz do samolotu.

Dwie godziny na pójście do pubu Hare's Breath dziś wieczorem są zaznaczone w moim kalendarzu osobistym, pod przypominajką, żebym po zajęciach w szpitalu odebrała z salonu suknię ślubną Lark. Jej wieczór panieński też tu jest – tę mocno alkoholową imprezę zaplanowałam na koniec tygodnia.

Po chwili kolejny esemes. **Teraz widzę.**

Zostało mi dziesięć minut przerwy. Torebka cukierków szeleści, kiedy chowam ją do kieszeni. To, że mama wpędza mnie w stres, nie jest niczym nowym. Od lat uważnie obserwuje stan mojego zdrowia. Zawsze istnieje groźba nawrotu ostrej białaczki limfoblastycznej i mama często mi o tym przypomina.

Wykryto u mnie białaczkę, gdy byłam w szkole średniej. Mama kazała mi wtedy przerwać pływanie sportowe, a także wypisała mnie ze szkoły publicznej i zamknęła pod kloszem domowego nauczania. Tata zaczął podróżować służbowo jako konsultant do spraw technologicznych, a ja siedziałam w domu z coraz bardziej nadopiekuńczą mamą. Kiedy choroba się nasiliła, rodzina się rozpadła. Mama rozpaczliwie walczyła o zachowanie

jakiejkolwiek kontroli. Podczas rozwodu zrobiło się jeszcze gorzej, zwłaszcza dla nastolatki oderwanej od życia wśród rówieśników i przez połowę czasu podłączonej do kroplówki.

Rok po remisji wyjechałam na uniwersytet w Austin, a mama uparła się, żeby na wszelki wypadek mieć klucz do mojego mieszkania poza kampusem. Kiedy byłam na zajęciach, robiła naloty na moją kuchnię i wyrzucała dające mi pociechę śmieciowe jedzenie. Zastępowała je wielkimi pojemnikami organicznej kapusty i innych warzyw, a potem przyczepiała na lodówce teksty zachwalające ich antyoksydacyjne właściwości. Nie dało się nawet w spokoju przytyć tych kilku przysłowiowych studenckich kilogramów.

Mogłabym pójść na medycynę w innym stanie, zamiast wyprawiać się aż za Atlantyk, gdyby chodziło mi tylko o to, by położyć kres niezapowiedzianym wizytom mamy. Ale spędziłam wakacje z Lark w Galway i tak jak ona zakochałam się w tym nadmorskim mieście. Złożyłam papiery, by zakwalifikowano mnie do Programu Atlantic Bridge, i zszokowałam mamę informacją, że zamierzam studiować medycynę w Irlandii. Przeprowadzka do innego kraju była dla mnie opcją najbliższą buntu, na jaki mogłam sobie pozwolić, jednocześnie realizując swoje cele.

– Wszystko w porządku? – pyta Oisín, odrywając wzrok od telefonu, w którym cicho leci *Come Here to Me*.

To był w Irlandii nieoficjalny przebój tego lata. Mogłam zablokować Aidana O'Toole'a na Spotify, a także w mediach społecznościowych, ale ciągle słyszało się jego muzykę w butikach i kawiarniach czy jako podkład do rolek i filmików w różnych aplikacjach.

Oisín orientuje się poniewczasie, kto śpiewa, i rzuca mi przepraszające spojrzenie. Wyłącza piosenkę w połowie refrenu.

– Spokojnie, wszystko w porządku. Nie musisz tego robić.

– Mnie też wkurzałoby słuchanie piosenek miłosnych byłego chłopaka. Na szczęście mój przynajmniej nie ma żadnych talentów. Skończony debil.

– Mam być szczera? Za każdym razem wściekam się jak diabli.

To tylko lekka przesada. Jak on śmiał zdobyć sławę, śpiewając o tym, jak bardzo mnie kocha, skoro dla tej sławy tak łatwo ze mnie zrezygnował?

Śmiech Oisína przebija się przez hałas kafeterii.

– Ślubuję ci wierność…

– A nie nazwałeś mnie przed chwilą wrogiem?

– …ale to naprawdę chwytliwy kawałek!

– Zdrajca.

– Wszyscy mamy swoje słabości. – Unosi dłonie w obronnym geście. – Błagam, nie rzucaj już we mnie cukierkami.

– Nie wierzę, że mam spędzić trzy dni ze swoim byłym i moją mamą – jęczę. Odgarniam włosy z ramienia i widzę, że kilka zostało na białym fartuchu. – Patrz, już łysieję ze stresu, a to dopiero za dwa tygodnie.

– Na pewno nie chcesz mnie jako osoby towarzyszącej? Jestem fantastycznym tancerzem. Możemy się postarać, żeby Aidan umarł z zazdrości.

– I tak będę stale zajęta obowiązkami druhny i rodzinnymi. Nie chciałabym, żebyś przez cały czas był sam. Ale dziękuję. – Wstaję i biorę swoją tacę. – Słuchaj, może wybrałbyś się ze mną dziś wieczorem do Hare's Breath? Żeby się trochę

rozluźnić? Nie wiem, kto będzie grał, ale w piątki zawsze kogoś tam mają.

Marszczy nos.

– Nie moja bajka.



W końcu będę dziś w Hare's Breath sama… Jeśli tylko można coś takiego powiedzieć o wyprawie do pubu, gdzie tłoczą się setki ludzi i kłębi mnóstwo moich wspomnień. Lark i Callum byli ostatnio ciągle zajęci pracą i planowaniem ślubu, więc kiedy zaproponowałam, by ze mną poszli, Lark odparła, że potrzebują spokojnego wieczoru, żeby skupić się na sobie przed uroczystościami. Zdążyłam jednak przed zamknięciem wpaść do salonu po jej suknię i welon.

Z zewnątrz pub został pomalowany na wesoły żółty kolor z zielonymi obwódkami, a w skrzynkach przy oknach pełno jest chryzantem. Ze szklanego przedsionka, gdzie są już dekoracje: tykwy, dynie i girlandy jesiennych liści, wylewa się tłum. Taki ścisk widziałam tu tylko podczas finałów mistrzostw świata w piłce nożnej.

W Hare's Breath jest najlepsza muzyka w mieście. Byłabym idiotką, gdybym pozwoliła, by półroczny związek z jakimś żałosnym mandolinistą z dołeczkami w policzkach obrzydził mi to miejsce na zawsze. Muszę tylko unikać tego przytulnego, wyłożonego drewnem kącika, gdzie się pierwszy raz całowaliśmy.

Przepycham się do środka i wskakuję na stołek, który właśnie się zwolnił. Mały tukan Guinnessa zdobi koniec baru. Czubek jego dzioba, poklepywany setki tysięcy razy, jest nieco stępiony. Choć ostatnio czuję się jeszcze bardziej zmęczona niż

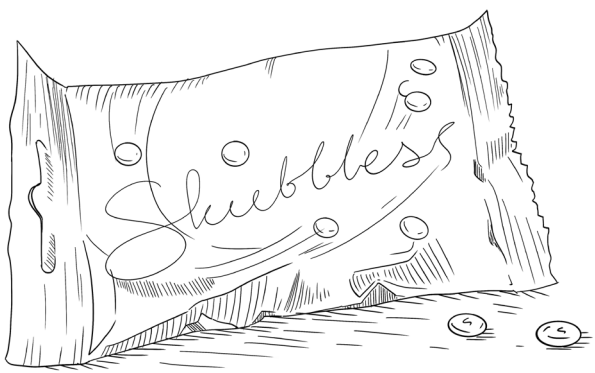
zwykle, moja dusza pragnie dziś trochę porządnej muzyki na żywo. Dla zdrowia. W ramach dbania o siebie.

Facet obok proponuje mi drinka, ale odmawiam. Flirt to ostatnie, co mi dzisiaj potrzebne. Jedna czy dwie kolejki, żeby się odprężyć, i wracam do domu. Potem prysznic, łóżeczko, no i jutro zaczynam od nowa.

Hurra!

Kiedy ludzie zaczynają wrzeszczeć i gwizdać, podążam za ich wzrokiem na małą scenę w kącie sali.

O… ja… pierdolę!



Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**. Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- Virtualo
- Publio
- Nexto

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.
Szukajcie ich na portalu Audioteka lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na Facebooku i na Instagramie.